

## „Święty Jan Paweł II człowiekiem pokoju i nadziei” „Co Mu w duszy gra?”

Podobno w chwili porodu moja mama poprosiła, by otworzono okno. Przez nie widać było ścianę kościoła, zegar słoneczny i napis w języku łacińskim: „Tempus fugit, aeternitas manet” (Czas ucieka, wieczność czeka). Z pobliskiego kościoła dobiegły do jej uszu dźwięki odprawianego nabożeństwa majowego. Przy ich akompaniamencie urodziłem się. Było to 18 maja 1920 r. Tego dnia triumfalnie powracał z frontu ukraińskiego do Warszawy marszałek Józef Piłsudski.

20 czerwca zostałem ochrzczony. Otrzymałem imiona Karol Józef. Karol po ojcu, a Józef po Józefie z Nazaretu, moim wuju i po marszałku Piłsudskim. Miasto, w którym się urodziłem miało już swoją wielką postać, był nim rektor Akademii Krakowskiej Marcin Wadowita, teraz szczeni się mną. W naszym mieszkaniu przy ul. Kościelnej 7 zawsze dużo było książek, świętych obrazów i rodzinnych fotografii. Na miejscu honorowym wisiało zdjęcie mego taty w mundurze legionisty. Był porucznikiem.

Mama, dorywczo pracowała jako szwaczka, a właściwie to zajmowała się mną i Edmundem. Edmund, mówiliśmy na niego Mundek, to mój brat, starszy o 14 lat.

Jak ja lubiłem grać w piłkę nożną. Rozgrywki między klasami traktowałem jak świętą wojnę. Gdy grałem na obronie, to miałem nawet pseudonim piłkarski – Martyna (to znany w moich czasach obrońca lwowskiej „Pogoni”). Ostatecznie jednak zostałem bramkarzem. Koledzy nie mogli strzelić mi gola, to naprawdę było trudne, mówili: „żem fest chłop i mam za długie ręce”.

Jak ja lubiłem jeździć na sankach - „żeby tylko świszczało w uszach”. Potem na deskach urządziłem sobie wędrowni wzdłuż rzeki Skawy. To początek mojej narciarskiej przygody. Z kolegami zbudowaliśmy nawet skocznię, osiągnęliśmy na niej odległość aż...sześć metrów.

Miałem zaledwie 9 lat, byłem w szkole, gdy umarła moja mama. Chorowała, była osobą słabą fizycznie, a ja sprawiałem jej jeszcze wiele problemów. Mimo to bardzo mnie kochała. Słyszałem jak często mówiła: „Mój Lolek zostanie wielkim człowiekiem”. Całymi tygodniami leżała w zamkniętym pokoju, do którego nie miałem wstępu. Mama nie chciała, abym oglądał jej zniekształconą bólem twarz. Gdy zmarła miała zaledwie 45 lat. W szpitalu napisano, że przyczyną śmierci było zapalenie mięśnia sercowego i nerek. Zostałem z tatą i Mundkiem. Następnego dnia po pogrzebie udaliśmy się na pielgrzymkę do Kalwarii Zebrzydowskiej. Często tam wracałem w trudnych momentach mojego życia. Matka Boska z podkrakowskiej Kalwarii wychowywała mnie od najmłodszych lat.

Po śmierci mamy zmieniłem się, dużo się modliłem, zamknąłem się w sobie. Gdy pytano mnie o mamę odpowiadałem: „Pan Bóg ją wezwał”.

Brat studiował w Krakowie medycynę, chciał być dobrym lekarzem. Opiekował się mną najlepiej jak umiał. Graliśmy w piłkę, chodziliśmy w góry. Tak było przez trzy cudowne lata. Potem znów zostałem sierocny. Mundek nagle zmarł, bo zaraził się szkarlatyną od pacjentki w szpitalu w Bielsku, gdzie pracował. Miał 26 lat, a ja 12. Został mi tylko tato, który ze wszystkich sił pragnął wynagrodzić mi to podwójne sieroctwo.

Tato, mój tato..., gdy go wspominam czuję wielkie wzruszenie. Prowadził surowe życie, pełne modlitwy. Często, gdy obudziłem się w nocy, widziałem go na kolanach. Był prawdziwym bazarzem. Swoim słodkim barytonem roztaczał przede mną i moimi kolegami historie o polskich bohaterach i męczennikach. Opowiadał o królowej Jadwidze, wspominał, że groby wielkich Polaków znajdują się niedaleko, w krakowskiej katedrze na Wawelu. Mówił, że musimy je koniecznie odwiedzić.

Tato miał dobrą kondycję. Codziennie po kolacji ruszaliśmy na długie spacery. W niedziele zapuszczaliśmy się w dalsze rejony Beskidu Małego. Bywało, że zdobywaliśmy razem i tatrzańskie szczyty.

We wrześniu 1930 r. zdałem egzamin do Państwowego Gimnazjum Śląskiego im. Marcina Wadowity. Świetna szkoła, wspaniali profesorowie. Uczyłem się dobrze, chciałem być zawsze przygotowany, nigdy nie ściągałem. To wbrew moim zasadom. Miałem potrzebę

modlitwy. Idąc do szkoły wstępowałem na moment do kościoła, w ciągu dnia modliłem się przed i po jedzeniu. Obowiązkowo przy odrabianiu lekcji, robiłem przerwę na modlitwę po każdym przedmiocie. Wszyscy myśleli, że zostanę księdzem, a mój tato, że żołnierzem, bo jak mawiał: „tak można służyć ojczyźnie najlepiej, a przy tym ma się zagwarantowany byt”. A ja zaczynałem żyć teatrem. Należałem do międzyszkolnego kółka dramatycznego. Jeździłem do Krakowa na warsztatowe spektakle przygotowywane przez słynnego aktora i reżysera Juliusza Osterwę.

Po zdanej maturze postanowiłem studiować polonistykę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studencki żywot rozpocząłem w październiku 1938 r. Otrzymywałem najlepsze oceny, nauka nie sprawiała mi trudności. Na pierwszym roku studiów przeprowadziłem się z tatą do Krakowa i zamieszkałem w rodzinnym domu mamy przy ulicy Tynieckiej na Dębnikach. Mieliśmy dwa małe pokoiki. Było czysto, choć skromnie. Czasem brakowało nam pieniędzy, szczególnie podczas niemieckiej okupacji.

Pamiętam jak dziś, był mroźny dzień 18 lutego 1941 r. Tato od kilku dni chorował. Opiekowałem się nim jak potrafiłem najlepiej. Gdy dolegliwości nie ustępowały, poszedłem po lekarstwo do apteki, szukałem też coś do zjedzenia. Kiedy wróciłem już nie żył. Miałem 21 lat. Zostałem zupełnie sam na świecie. Całą noc klęczałem i czuwałem przy zwłokach. Nigdy nie czułem się tak samotny. Zrozumiałem wtedy, że nić łącząca syna z ojcem, to największa świętość. Była to chyba przełomowa noc w moim życiu. Nie było we mnie buntu. W obliczu życia i śmierci narodziła się myśl o kapłaństwie. Zamknąłem ją w swoim sercu, bo nie miałem w danym momencie możliwości studiowania.

Rodziców straciłem bardzo wcześnie, ale zachowałem dla nich ogromną wdzięczność. Dziś, gdy upada autorytet rodziców, pamiętajcie: mamę i tatę należy czcić, kochać i szanować. Tak czułem, postępowałem i później nauczałem. Podczas moich wizyt w Polsce, już jako papież, nigdy nie zapomniałem odwiedzić ich wspólny grób na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Po śmierci ojca, zamieszkałem u zaprzyjaźnionej rodziny, u państwa Kydryńskich, i podjąłem pracę w kamieniołomach w Zakrzówku, później w zakładach chemicznych Solvay w Borku Fałęckim. Tak uniknąłem wywózki na roboty do Niemiec. Pracowałem bardzo ciężko. Każdego dnia musiałem załadować kamieniami cały wagon, a mróz dochodził czasem do 30 stopni. Stałem się mizernym, wychudzonym robotnikiem. Dwa lata pracowałem w kamieniołomach, potem przenieśli mnie do działu oczyszczania wody. Pracując tak ciężko nauczyłem się rozumieć robotników, pojąłem sens ciężkiej pracy.

Czasy okupacji były trudnymi czasami, widziałem co robią z Żydami. Postanowiłem pomóc. Zaangażowałem się w działalność podziemnej organizacji „Unia”, związanej z krakowskim środowiskiem katolickim, chroniła ona między innymi Żydów przed wywózką na śmierć. Poznałem też wówczas pana Jana Tyranowskiego, skromnego krawca, opiekuna młodzieżowych, męskich grup Żywego Różańca. Był człowiekiem bardzo głębokiej wiary. Jest rzeczą zdumiewającą, ale nie przypadkową, że tak ogromny wpływ na kształtowanie się mojej osobowości, wywarł nie uczony, nie intelektualista, nie wielki kaznodzieja, ale prosty, pozbawiony talentów człowiek. To on nauczył mnie pracy nad sobą, to on wprowadził mnie w świat o istnieniu, którego wówczas nie wiedziałem, pokazał mi dzieła i życie św. Jana od Krzyża i św. Teresy z Avila.

Mimo że była wojna nie przestawałem czytać, nadal interesował mnie teatr, sam napisałem nawet dwa dramaty: „Hiob” i „Jeremiasz”. Pełne były wiary w odzyskanie wolności.

Przez cały czas miałem kontakt ze swoim polonistą - Mieczysławem Kotlarczykiem. Wysiedlony z Wadowic, zamieszkał ze mną na Tynieckiej 10. Od razu niemal zaczęły odbywać się tam próby teatralne, a wkrótce potem powstał podziemny Teatr Rapsodyczny. Jego repertuar stanowiły dzieła wielkich polskich romantyków. Próby odbywały się kilka razy w tygodniu w moim mieszkaniu, często przy świecach, gdy brakowało prądu. Od 1 listopada 1941 r. do końca wojny przygotowywaliśmy spektakle „ku pokrzepieniu serc”. Juliusz Osterwa, bywalec naszych tajnych widowisk powiedział kiedyś o mnie: „zapowiada się nadzwyczajny aktor”. Ta opinia nie powstrzymała jednak mojej decyzji o rozpoczęciu

studiów teologicznych. Wszyscy przeżyli szok, gdy na jednej z prób powiedziałem im o tym. Po wielogodzinnej rozmowie udało się odwieść mnie jedynie od zamiaru wstąpienia do zakonu o niezwykle surowej regule, nosiłem się bowiem z zamiarem wstąpienia do klasztoru karmelitów bosych.

Ostatecznie wstąpiłem do tajnego Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Krakowie i rozpocząłem konspiracyjne studia na Wydziale Teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W czasie wojny tyle działo się zła, wielu moich rówieśników zginęło. Arcybiskup krakowski kardynał Adam Sapieha otoczył mnie swoją opieką, zamieszkałem w pałacu biskupim. On też wyświęcił mnie na księdza 1 listopada 1946 r.

Dla kontynuacji studiów wysłano mnie do Rzymu. Wyobrażałem go sobie całkiem inaczej. Dopiero po zwiedzeniu katakumb odnalazłem Rzym pierwszych chrześcijan, Rzym męczenników. Każdą wolną chwilę poświęcałem zwiedzaniu tego niezwykłego miasta. Upodobałem sobie szczególnie, może dlatego, że związany był z Polską, barokowy kościół św. Andrzeja, w którym spoczywają szczątki św. Stanisława Kostki.

W 1947 r. udałem się do San Giovanni Rotundo. Tu uczestniczyłem we Mszy Świętej odprawianej przez Ojca Pio. Jakież było moje zdziwienie, gdy ten pokorny, a zarazem słynny stygmatyk, po wysłuchaniu mojej spowiedzi, klęknął przede mną, i przepowiedział mi, że zostanę powołany na Tron Piotrowy, że przeżyję zamach na swoje życie.

W Rzymie studiowałem na Angelicum. Był to Dominikański Instytut Filozoficzny. Mieszkałem w Kolegium Belgijskim. Miałem tu sposobność szlifować swój język francuski i rozpocząć naukę angielskiego. Pomagali mi dwaj amerykańscy koledzy. Mówili, że mam napalony, bo nawet podczas posiłków podsłuchiwałem rozmów Amerykanów, przy okazji nauczyli mnie też słów niecenzuralnych. Znajomość języków przydała mi się podczas mego pobytu we Francji, Belgii i Holandii, gdzie spotkałem księży pracujących wśród skupisk robotników. Zrozumiałem, że liturgia, aby była owocną musi być zrozumiała dla ludzi prostych, mieszkańców robotniczych przedmieści.

Półtora roku studiów w Rzymie minęło błyskawicznie. Napisałem tam rozprawę doktorską na temat wiary u świętego Jana od Krzyża. Poznałem wówczas, że głęboka wiara musi być karmiona miłością i oświecona darami Ducha Świętego, szczególnie mądrością i rozumem. Ledwie wróciłem z Rzymu, arcybiskup Sapieha skierował mnie do jednej z najstarszych parafii w Polsce, galicyjskiej Niegowici. Ani słyszeć nie chciał, gdy ponowiłem prośbę o skierowanie mnie do zakonu, odmówił mówiąc krótko: „trzeba najpierw dokończyć to, co się zaczęło”.

Niegowic to mała wioska w pobliżu Bochni. Ludzie żyli tam bardzo ubogo. Nie było kanalizacji i prądu. Mieszkali w ulepionych z gliny chałupach. Mówiono, że kardynał wysłał mnie na wygnanie, że zniszczy moją naukową karierę. Nie skarżyłem się, wierzyłem, że mój opiekun wie co robi. W lipcu 1948 r. w zniszczonej sutannie, rozdeptanych butach i ze starą walizką, zawierającą cały mój dobytek, stawiałem się w wikarówce. Byłem tam siedem miesięcy. Gdy z drugim wikarym założyliśmy kółko Żywego Różańca, zainteresował się mną Urząd Bezpieczeństwa. Najgorsze było to, że próbowali zmuszać młodzież do donoszenia na mnie, uciekali się do szantażu i pobić. Prosiłem chłopców: „złó, przeciwstawiajcie dobro”, opowiadajcie agentom co dzieje się w parafii, że: spędzam z wami dużo czasu, wystawiamy spektakle teatralne, gramy w piłkę, robimy wycieczki do lasu, śpiewamy przy ognisku, kolędujemy, uczycie mnie jeździć na rowerze itd. Syna miejscowego rolnika, Stasia Wyporek, za małą opłatą poprosiłem o przepisanie na maszynie mojej pracy doktorskiej. Zrobił to, choć nie rozumiał ani słowa, bo wszystkie 280 stron, były po łacinie.

W marcu 1949 r. byłem już przeniesiony do Krakowa, moją nową placówką był kościół św. Floriana na Kleparzu. Tu też miałem kontakt z młodzieżą, ale już akademicką. Pewnie nie wiecie, że w tej parafii założyłem nawet chór gregoriański i ... odkryłem potęgę młodości. Zrozumiałem, że to właśnie w tym czasie młodzi szukają konkretnego projektu, wedle którego budują swoje życie. Potrzebowali mnie nie tylko w kościele, ale i poza nim. Wpadłem na pomysł wspólnego wędrowania, początkowo były to wypadki górskie w Gorce, Beskidy, potem w Bieszczady. Wiedziałem, że byt człowieka jest przemijający i zmienny.

Góry zaś istniały w sposób pewny i trwałe, były dla mnie obrazem niezmiennej wieczności Boga.

Były też wspólne spływy kajakowe. Na początku rzeka Brda, potem Drwa, tu byłem kapitanem słynnego kajaka „Kalosza”, później Czarna Hańcza, Łyna, San i Wigry.

Na każdym szlaku byłem duszpasterzem. Do swojego „Kalosza” zabierałem przyjaciół na indywidualne rekolekcje. „Moja paczka” liczyła około 70 osób. Aby nie mieć problemów z policją, kapłanom nie można było pracować z młodzieżą poza kościołem, nie wkładałem sutanny i nazywano mnie „Wujkiem”. W plecaku nosiłem naczynia liturgiczne, bo dzień rozpoczynaliśmy mszą świętą odprawianą na polowym ołtarzu. W czasie wędrówek zawsze z kimś prowadziłem osobiste rozważania, często o seksie i miłości. Powtarzałem każdemu: „Miłość to nie przygoda. Nie może być chwilą. To ciężar całego losu. Zanim nawiążecie intymne kontakty nauczcie się być razem, bądźcie dla siebie cierpliwi, wyrozumiali, odpowiedzialni, nauczcie się dzielić z innymi”. Dziewczętom mówiłem, że ich zadaniem jest kształtowanie charakteru i postaw mężczyzn. Narzeczonym doradzałem kilkudniowe przerwy w spotkaniach, dla wzmocnienia wewnętrznej dyscypliny. Tak bardzo pragnąłem, by zrozumieli, że poczęcie dziecka to ich udział w akcie stworzenia. Podobno żadna z par wychowanych na moich wskazówkach nie rozpadła się.

Najtrudniejsze, ale i najważniejsze dla mnie jako kapłana było spowiadanie. Nie chciałem bawić się w dzięcioła, który odstukuje to z jednej, a to z drugiej strony. Pragnąłem nawiązać autentyczny kontakt, z tymi, którzy odkrywali przede mną swoje najgłębsze „ja”.

U św. Floriana byłem do 1951 r. Już dawno pożegnałem się z aktorstwem, ale pióra nie odłożyłem. W druku ukazywało się coraz więcej moich wierszy, podpisywałem je Andrzej Jawień lub Stanisław Andrzej Gruda. Napisałem też dramat o bracie Albercie Chmielowskim, wystawiano go w teatrach pod tytułem „Brat naszego Boga”. Adam Chmielowski, uczestnik Powstania Styczniowego, porzucił karierę malarza, by zostać zakonikiem służącym ubogim, bezdomnym, chorym. Dla mnie jego postać miała decydujące znaczenie. Gdy sam zdecydowałem się odejść od teatru, znalazłem w nim oparcie duchowe, wzór radykalnego wyboru drogi powołania.

W roku 1956 na dobre zadomowiłem się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ostatnim bastionie teologicznym na polskich uczelniach w tym czasie. Wykładałem teologię moralną i etykę małżeńską. Podczas jednej ze studenckich zabaw wystawiano profesorom oceny. Moja ocena to: „mądry i święty”.

W 1958 r. zostałem biskupem pomocniczym archidiecezji krakowskiej. Przesiadłem się z kajaka na Łódź Piotrową. Miałem zaledwie 38 lat. Uroczystość otrzymania sakry biskupiej odbyła się w katedrze wawelskiej, za dewizę wybrałem sobie słowa „Totus Tuus” – „Cały Twój”. Dalej wszystko toczyło się już bardzo szybko, dochodziło mi wiele nowych obowiązków, które swoim zwyczajem zawsze pragnąłem wypełniać sumiennie, ale stylu swego życia nie zmieniłem. W październiku 1962 r. wraz z kardynałem Wyszyńskim i dziesięcioma innymi polskimi biskupami, byłem najmłodszym, wszedłem w skład delegacji na Sobór Watykański II. Po licznych moich wystąpieniach znalazłem się w gronie najwybitniejszych teologów świata, zostałem znaną i wpływową osobistością Soboru. Ja „Lolek” z Wadowic.

30 grudnia 1963 r. zostałem arcybiskupem. Gdy miałem zaledwie 47 lat z rąk papieża Pawła VI otrzymałem biret kardynalski. Już jako kardynał zacieśniłem moje relacje z Pawłem VI. Wspólnie pracowaliśmy nad encykliką „O życiu człowieka” (Humanae vitae). Pomogłem papieżowi, który poddawany był ogromnej presji zwolenników, jak i wrogów antykoncepcji. Byłem jej zdecydowanym przeciwnikiem, uważałem, że stosowanie środków antykoncepcyjnych podważa godność aktu małżeńskiego i samej kobiety, czyniąc z niej narzędzie zaspakajania pożądań mężczyzny.

Paweł VI zaprosił mnie, abym przeprowadził rekolekcje wielkopostne w Watykanie. Był rok 1976. Te wielkopostne rozważania wydrukowano później pod znamiennym tytułem „Znak sprzeciwu”.

Pracowałem dużo naukowo, moje prace „Miłość i odpowiedzialność” oraz „Osoba i czyn” weszły do kanonu lektur z etyki. Za wkład w jej rozwój zostałem doktorem honoris causa Uniwersytetu im. Jana Gutenberga w Moguncji.

W kraju stałem się wrogiem numer 1 Polski Ludowej. Kraków zaś mnie kochał, kochał swego metropolitę, a ja odwzajemniałem tę miłość. Udało mi się po wielu latach oporu komunistycznych władz wybudować kościół w Nowej Hucie – sztandarowym osiedlu klasy robotniczej. Dlatego zabrano mi paszport dyplomatyczny, podsłuchiwano rozmowy, śledzono, „nieznani sprawcy” pobili mojego współpracownika, wiem że dostał za mnie.

16 października 1978 r. z komina nad Kaplicą Sykstyńską uniósł się biały dym, znak że wybrano papieża, zostałem nim - ja. Gdy liczba głosów podczas konklawe, rosła za mną, rozbity i niespokojny odwiedziłem prymasa Stefana Wyszyńskiego. Wziął mnie w ramiona i powiedział z naciskiem; „Jeśli cię wybiorą, musisz przyjąć. Dla Polski.” Teraz wiem, że nie byłoby mnie na Stolicy Piotrowej, gdyby nie było wiary naszego prymasa nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Jego heroicznej nadziei. Szanowałem i kochałem prymasa, ale nie chciałem zostawić go samego w kraju, w wojującym komunizmie.

Kiedy liczba głosów osiągnęła połowę wymaganych, odrzuciłem pióro, wyprostowałem się na krześle, czułem jak pali mnie cała twarz, ująłem głowę w dłonie, byłem oszołomiony.

Na 111 kardynałów, głosowało na mnie 94. Usłyszałem łacińskie zapytanie kardynała Villota: „Czy zgadzasz się?”. Czułem na sobie wzrok kardynałów. Jedni mi współczuli, inni myśleli, że nie przyjmę wyboru. Miałem być pierwszym cudzoziemcem na Stolicy Piotrowej od 1522 roku. Czas mijał, powrócił pokój serca: „W posłuszeństwie wiary wobec Chrystusa, mojego Pana, zawierając Matce Chrystusa i Kościoła – świadom trudności – przyjmuję” – brzmiała moja odpowiedź.

Kilkanaście minut po godzinie 18, 16 października 1978 r. na Placu św. Piotra świat usłyszał słowa: „Habemus papam” (mamy papieża). Andre Frossard, francuski dziennikarz, wnikliwy obserwator życia Kościoła, po usłyszeniu moich słów : „Nie lękajcie się”, skierowanych do zebranych na Placu, napisał w depeszy do swojej redakcji: „To nie jest papież z Polski, to jest papież z Galilei”.

Tak w dużym skrócie wyglądała moja droga od Karola Wojtyły do Jana Pawła II. Nie chodzi mi o przekazanie wszystkich szczegółów mojej biografii, inni robią to dużo bardziej wnikliwie. Podają, że odbyłem ponoć 102 pielgrzymki zagraniczne, podczas których odwiedziłem 135 krajów, niektóre z nich wielokrotnie i wygłosiłem ponad 2400 przemówień, dokonałem ponoć 142 beatyfikacji i 50 kanonizacji. Opublikowałem przeszło 100 dokumentów Nauczycielskiego Urzędu Kościoła, w tym 14 encyklik. Warto wspomnieć też o moim dorobku literackim. Napisałem: „Przekroczyć próg nadziei”, „Dar i Tajemnica” oraz poemat „Tryptyk Rzymski”. Kiedy ja to wszystko zrobiłem?... Sam, o własnych, ludzkich jedynie siłach nie byłbym w stanie ...

Nie wiem czy wiecie, że byłem pierwszym w dziejach papieżem, który przekroczył progi świątyni protestanckiej, byłem u luteranów w Rzymie, pierwszym, który odwiedził żydowską synagogę, pierwszym, którego w Maroku 1985 r. słuchała wielka rzesza młodzieży muzułmańskiej. Wiem, że od ekumenizmu nie ma odwrotu, widzę go jednak jako „pojednanie różnorodności” bez jakiegokolwiek uszczerbku dla własnej tożsamości, nie zaś jako ujednolicenie i zjednoczenie Kościołów.

Nie sądzicie, że łatwo było mi sterować Łodzią Piotrową, gdy nawet wewnątrz Kościoła byli tacy, którzy mnie krytykowali i naciskali na zmiany. Nasi księża moderniści chcieli, bym zgodził się np. na kapłaństwo kobiet, a przecież rola kobiety jest inna. Święcenia kapłańskie od samego początku były zastrzeżone wyłącznie dla mężczyzn. Chrystus powołał 12 mężczyzn, Apostołów, w akcie wolnym, uczynił z nich fundament swojego Kościoła. Jego Matka, Matka Boga i Kościoła, nie otrzymała takiej misji, co nie umniejsza wcale Jej godności. Nie jest aktem dyskryminacji, ale raczej wypełnieniem zamysłu mądrości Boga. Ponadto kwestionowali dogmat o nieomyślności papieża, celibacie, zakazie używania środków antykoncepcyjnych. Dla mnie antykoncepcja wiąże się ściśle z aborcją. Wychodząc od programów antykoncepcyjnych, rządy i organizacje międzynarodowe przechodzą często

do praktykowania sterylizacji i przerywania ciąży. Używanie zaś środków antykoncepcyjnych jest dla mnie fałszowaniem całkowitego daru z siebie, manipulacją i poniżaniem ludzkiej płciowości.

Twarde i nieprzejednane stanowisko zajmowałem zawsze wobec aborcji. Wiedziałem, że akceptacja przerywania ciąży jest niezwykle groźnym znakiem kryzysu moralnego, utraty zdolności rozróżniania dobra i zła. Ja wiem, że przerwanie ciąży często jest dla matki bolesne, że często zostaje podjęte z pobudek nieegoistycznych. Chodzić może o ratowanie zdrowia, godziwy poziom życia innych członków rodziny, czy z obawy, że poczęte dziecko miałoby tak trudne życie, że lepiej się stanie, gdy się nie narodzi. Pamiętajcie jednak, że wszystkie te i inne racje, jakkolwiek poważne i dramatyczne, nigdy nie usprawiedliwią umyślnego pozbawienia życia niewinnej istoty ludzkiej, a taką jest od zapłodnienia, bo od tego momentu zaczynają się dzieje życia człowieka.

Na ten temat nie polemizowałem. Ta sfera spraw ludzkich nie mogła być przedmiotem targów, dyskusji czy kompromisów. Życie to życie. I już. A naród, który zabija własne dzieci, jest narodem bez przyszłości.

Niezwykle dramatyczna była moja batalia z teologią wyzwolenia. Kiedy biskupi Ameryki Łacińskiej potępiłi przemoc dyktatorów i niesprawiedliwość kapitalizmu, niektórzy księża przyłączyli się do lewicowych partyzantów, otwarcie sympatyzowali z marksizmem i ruchami na rzecz rewolucji socjalistycznej. Ja marksizm znałem w jego praktycznym wydaniu w Polsce i Europie, jednoznacznie odrzuciłem koncepcję Chrystusa jako polityka i rewolucjonisty, jako buntownika z Nazaretu, czułem wyraźnie, że jest to sprzeczne z Ewangelią i sprowadza Kościół na manowce.

Poza tymi trudnymi sprawami były też inne dni w moim papieskim życiu ważne i piękne lub bolesne, o których chciałem Wam jeszcze powiedzieć.

Z wielkim wzruszeniem całowałem moją rodzinną ziemię w 1979 r. podczas I pielgrzymki do Polski, a było ich aż 8. Zawsze, gdy odwiedzałem jakiś kraj, najpierw witałem się pocałunkiem z jego ziemią. Będąc w mojej kochanej ojczyźnie coraz mocniej uświadamiałem sobie słowa kardynała Wyszyńskiego: „Musisz przyjąć. Dla Polski”. Ja, papież Polak wołałem w 1979 r. : „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi... Tej ziemi”, a potem wybuchała w Polsce „Solidarność”.

Pamiętajcie, nie ma na świecie drugiego takiego okna i adresu – jak by się kto pytał -, Kraków -Franciszkańska 3. Tu pod tym oknem tysiące Młodych pozdrawiają mnie słowami: „Witamy w domu!”. To okno na Polskę, jak mówił kardynał Franciszek Macharski. To z niego powiedziałem do zgromadzonych młodych ludzi: „ważne jest, jak żyć, a nie tylko, żeby żyć”.

13 maja 1981 r. o piątej po południu jechałem swoim białym jeepem po Placu św. Piotra w Rzymie, odbywała się środowa audiencja, ścisnąłem wyciągnięte do mnie ręce pielgrzymów. Usłyszałem strzały, zobaczyłem jeszcze jak spłoszone gołębie wzbiły się w powietrze. Z pistoletu strzelił do mnie zawodowy zabójca Mehmed Ali Agca. Osunąłem się bezwładny na ręce przyjaciela ks. Stanisława Dziwisza. Kule oszczędziły go, choć ponoć siła naboju mogła przeszyć 8 osób, raniły dwie inne osoby. Ksiądz Stanisław zapytał mnie: „Gdzie?. Odpowiedziałem: „W brzuch?” Spytał jeszcze: „Bardzo boli?”. Odpowiedziałem: „Tak”. Zamknąłem oczy, bardzo cierpiałem, modliłem się powtarzając: „Maryjo, Matko moja! Maryjo, Matko moja!”. Ali Agca nie mógł zrozumieć, gdy później rozmawiałem z nim w więzieniu, jak to możliwe, że on strzelał dobrze, a ofiara żyje. Przebaczyłem mu, choć nie usłyszałem słowa „przepraszam”.

Po moim cudownym ocaleniu stałem się dłużnikiem Najświętszej Maryi Panny. Gdy byłem w Fatimie w 1991 r. złożyłem na ołtarzu pocisk, który mnie ugodził. Zdobi on teraz Jej koronę. Zakrwawiony pas, który miałem na sobie w chwili zamachu, ofiarowałem Matce Boskiej Częstochowskiej.

Jasna Góra w Częstochowie, to duchowe serce Polski, ukochane moje sanktuarium, tu zawsze byliśmy wolni. Mając taką Matkę, jesteśmy narodem nie do pokonania. Tu, na Jasnej Górze powiedziałem wam, że nasza polska wolność tak dużo kosztuje, ale nie pragniemy takiej Polski, która by nic nie kosztowała. Naród ginie, gdy znieprawia swojego ducha, naród rośnie, gdy duch jego coraz bardziej się oczyszcza i żadne siły zewnętrzne nie zdołają tego zniszczyć.

Wy, młodzi jesteście bardzo ważni. Zawsze to wiedziałem, byliście moją nadzieją i jesteście nadzieją Kościoła. Gdy inicjowałem w 1986 r. Światowe Dni Młodzieży, byłem jeszcze młodym papieżem, ale upływ czasu niczego nie zmienił, serce moje zostało młode, choć ciało się zestarzało. Ciągle wam powtarzałem: „Nie lękajcie się żyć wbrew obiegowym opiniom i sprzecznym z Bożym prawem propozycjom. Odwaga wiary kosztuje, ale wy nie możecie przegrać miłości!. Nie dajcie się zniewolić”.

10 czerwca 1979 r. na Błoniach Krakowskich prosiłem: „abyście nigdy nie wzgardzili tą Miłością, która jest „największa”, która się wyraziła przez Krzyż, a bez której życie ludzkie nie ma korzenia, ani sensu”.

Gdy byłem w czerwcu 1987 r. na Westerplatte powiedziałem Wam: „ Każdy z Was, znajduje w życiu jakieś swoje „Westerplatte”. Zadanie, które trzeba wypełnić. Sprawę, o którą trzeba walczyć. Obowiązek, od którego nie można się uchylić. Nie można „zdezertować”, jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić w sobie i wokół siebie”.

Starajcie się być ludźmi sumienia, słuchajcie jego głosu, nie zagłuszajcie go w sobie, choć jest on nieraz trudny i wymagający. Angażujcie się w dobro i pomnażajcie je wokół siebie, nie gódźcie się nigdy na zło (Skoczów, 22 maja 1995 r.).

Gdy przyjechałem do Polski jako papież po raz pierwszy, pragnąłem was obudzić, gdy byłem tu po raz drugi - pocieszyć, następnym razem przybyłem, by wymagać. Wpatrując się w was, myślę z drżeniem i ufnością o tym, czym będziecie w jutrzejszym świecie. Pragnę zostawić wam, jako wskazanie na drogę waszego życia, trzy myśli: szukajcie Jezusa, kochajcie Jezusa, dawajcie świadectwo Jezusowi. On was przyjmie i pobłogosławi, tak posłuży się waszym życiem, jak moim, przejdzie to wasze najśmielsze oczekiwania. Nie ma tu wielkiego znaczenia droga, jaką zamierzacie obrać – przemysł, handel, nauka, zasada pozostaje ta sama: uczynicie Jezusa przewodnikiem waszego życia i pozwólcie, żeby was przemienił, a osiągniecie najlepsze wyniki.

Odważnie opierajcie się handlarzom złudzeń, którzy wykorzystują wasz głód szczęścia i drogo każą sobie płacić za chwilę „sztucznego raj”, uzyskaną przez odrobinę dymu, dawkę alkoholu czy narkotyku. Te skrócone drogi mają prowadzić rzekomo do szczęścia, a w rzeczywistości nie wiodą donikąd. Odwracają was tylko od mądrego panowania nad sobą, które tworzy człowieka. Miejcie odwagę, by odrzucić tą łatwą drogę lub by z niej zawrócić, by się nie stoczyć.

Nie miałem złota ani srebra, nie miałem gotowych odpowiedzi. Przyszedłem do was jako świadek Jezusa Chrystusa i mówię wam: „Wstań i idź”, nie skupiaj się na swoich słabościach i zwątpieniach, żyj wyprostowany.

2 kwietnia 2005 r. o godzinie 21,37 odszedłem od was, w wigilię Święta Bożego Miłosierdzia, w pierwszą sobotę miesiąca, dzień poświęcony Matce Najświętszej. Byłem już bardzo zmęczony, poczułem ogromną ulgę. Pracę swoją wykonałem, bieg ukończyłem...Pozostawiłem wam tysiące słów, gestów, zdjęć... Nie zapominajcie o mnie! Nie dajcie sobie wydrzeć wiary, bądźcie czujni!

Papież Franciszek kanonizował Jana Pawła II w dniu 27 kwietnia 2014 roku, w Niedzielę Miłosierdzia Bożego. Tego dnia formalnie zakończył się jeden z najkrótszych w historii procesów kanonizacyjnych.